

Beskid Niski i Bieszczady
historia, nostalgia i przestrzeń
2017.08.05-12

*... marzenia poruszają
wyobraźnię,
a ta pcha w nieznane ...*

Słowem wstępu

Dzisiaj zwarta i szybka pobudka. Przecież to jest ten dzień. Chwila, w której zaczynamy. Do tej pory “pasłem” swe zmysły galeriami i opisami Podjazdy, Zarazka, PABLA, Kamil_Ra i innych. Teraz ma zacząć się nasza osobista przygoda. Pełen magii, czaru i powabu czas w nieznanej krainie.



Obszarem, który mamy eksplorować to Beskid Niski, część Bieszczad wraz z Pogórzem Przemyskim oraz południowo-wschodnie Roztocze.

Co z tego wyjdzie zobaczymy.

DZIEŃ 1 : 2017-08-05 TARNÓW JAMNA 52,94 km.

O 7:34 wyrusza nasz pociąg do Tarnowa. Jest prawie pusty. Przemila Pani Konduktor komentuje to w ten sposób:

“pewnie wszyscy siedzą nad wodą”.

To prawda pomimo tak wczesnej pory jest około 25°C. Do Tarnowa docieramy o czasie. Jednak wyjazd z tego miasta chwilę nam schodzi. Na początek musimy oddać 1 komplet biletów (miał z nami jechać brat/wujek, ale zatrzymał go nawał roboty). Później trafiamy na rozkopane miasto i mamy problem z dostaniem się na właściwą drogę.

W końcu jesteśmy i wspinamy się na pierwszą górkę w celu obejrzenia ruin zamku rodu Tarnowskich wznoszącego się na zboczu Góry Św. Marcina. Stąd również można spojrzeć na pięknie otwartą panoramę rozciągającą się u podnóża miasta.



Stromizna daje w kość. Nawierzchnia również (kostka). Młody przeżywa pierwszą, choć nie ostatnią, załamek - chce wracać. Rozmawiamy. Ma do wyboru dwie opcje. Pierwsza - jechać dalej, druga - zawrócić wraz ze mną na dworzec gdzie wsadzę go w pociąg do mamy. Później wyboru nie będzie. Chwila zadumy i męska decyzja - w drogę w nieznane.

Co chwilę się wspinamy by za chwilę tracić wysokość. Pokazują się pierwsze okazy architektury drewnianej. W okazałym kościele w Zawadzie trwają prace renowacyjne. Moment zadumy, parę łyków wody i ruszamy dalej w trasę. Kilka obrotów korbą i otwierają się przed nami cudowne widoki. **“Cudowne”** to zbyt płytkie słowo, ale innego nie znajduję. Jeśli się da jedziemy, jeśli nie pchamy. Głowa nie chce skupić się na drodze. Cały czas podziwiamy widoki. Oczy latają od krajobrazu do krajobrazu. W końcu przerwa. Zjadamy śniadanie pod sklepem GS. Miejskowe bułki, lody i woda oraz tradycyjny lokalny koloryt. Wymieniamy luźne uwagi z miejscowymi rezydentami, którzy spożywają złocisty płyn

nie bacząc na to iż pod sklep podjechali pojazdami mechanicznymi. Znowu w drogę. Trafiamy na cmentarz z I WŚ. Kolejne podjazdy i kolejne widoki. Zjadamy w Zakliczynie obiad. Pierogi + cola + lody. Zresztą lody zjadamy chyba w każdym napotkanym sklepie. Woda idzie litrami. Również na siebie. Warunki są ekstremalne. Podejmujemy decyzję o skróceniu dzisiejszego planu. Miało być Jaworze będzie Jamna i połowa dystansu, ale przecież nie przyjechaliśmy tutaj by się ścigać. Trasa od Zakliczyna płaska. Odpoczywamy. Dopiero podjazd, a w zasadzie podejście na Jamną daje nam w kość. Na nocleg wybieramy „Bacówkę”. Chcą 2 x 35 pln za pokój bez łazienki. Wybieramy namiot po 2x10 pln z dostępem do toalet i prysznic w cenie.

Przy barze spotykamy „*innostranca*” z Niemiec. Pomagamy mu w konwersacji z obsługą. On się melduje, a my w ramach wdzięczności otrzymujemy rabat w barze. Lane piwo wychodzi po 4 pln. Gdybym wiedział to bym się dodatkowo nie obciążał. Robimy kolację. Na ognisku lądują kromki z serem i kiełbą. Dodatkowo biesiadujący wcześniej pozostawiają nam w spadku szaszłyki. Zmiana ekipy. Razem z rodziną z Krakowa, która przyjechała z małą córką oglądamy gwiazdy. Trochę gadamy. Robi się późno. Idziemy spać.

DZIEŃ 2 : 2017-08-06 JAMNA UŚCIE GORLICKIE 66,28 km.

Pobudka 6:00. Jest pięknie. Idę pod prysznic. Spotykam Niemca. Znowu *“kulawimy”* po angielsku. Jadą przez Słowację do Egeru na Węgry. Wracają wspomnienia (z tamtego wieku :-)). Parzę dla siebie kawę, dla młodego herbatę. Poranny rozgardiasz. Zbieramy się. Mam nadzieję, że dzisiaj nie będzie tak gorąco.

Wyjechaliśmy o 10:00 i gorąco rzeczywiście nie było. Co prawda dzień zaczął się pięknie od strony pogodowej, ale potem było już tylko gorzej kończąc go regularną zlewą. Zaczynamy fantastycznym szlakiem z Jamnej. Na dzień dobry zwiedzamy Dolinę Krzyży, w której znajduje się Kaplica Męczeństwa. Poświęcona jest lokalnym bohaterom walczącym z okupantem.



Zjeżdżając ze szlaku trafiamy na sklep “GS” gdzie spożywamy drożdżówki. Później kierujemy się na Falkową. Droga usiana jest fantastycznymi widokami. Następnie przez Stróże i Grybów kierujemy się na Ptaszkową. Tamtejszy podjazd daje nam mocno popalić. Gdy go *“dopychamy”* do końca mamy naprawdę dość. Podziwiamy drewniany kościół zjadając czekoladę, ciastka i znikamy. Znika również mój kapelusz, który tam zostawiam.

Ponieważ wczoraj przeszacowaliśmy nasze siły i zrobiliśmy praktycznie połowę z zakładanego dystansu decyduję o zmianie trasy na dzisiaj. Jedziemy przez Królową Górną (piękne przełomy na rzece), Boguszę, Binczarową, Brunary i Czarną by wreszcie dotrzeć do Uścia Gorlickiego. W każdej z tych miejscowości zatrzymujemy się by zwiedzić zabytkowe cerkwie. Niektóre z nich są wpisane na listę dziedzictwa UNESCO. Mamy szczęście gdyż w Brunarach udaje mi się wejść do środka. W Czarnej niestety nie. Jednak jej położenie i lokalizacja robią na nas piorunujące wrażenie.

Do Uścia docieramy mocno zmęczeni. Podjazd w kierunku Homoli bardzo nas zmordował, za to zjazd był bardzo przyjemny :-D. Na noc lokujemy się na campingu "Oaza". Miałem ochotę na domek, bo zapowiadało się znowu na deszcz. Nie dało rady. Namiot rozbijamy w pierwszych kroplach. Myjemy się, jemy i korzystając z dostępu do sieci ładujemy elektronikę. Jak zaczęło padać tak pada całą noc z wieczorną przerwą na tęczę.



Jestem tak zmęczony, że zasnąłem o 21:00.

DZIEŃ 3 : 2017-08-07 UŚCIE GORLICKIE MAGURA MAŁASTOWSKA 35,87 km.

6:00 dalej pada. Zwijamy się jest mokro. Zastanawiamy się co robić. Jak to dzisiaj rozegrać? Na początek dokańczamy wczorajszy plan. Smrekowiec - Regietów - Skwirtne i znowu Uście Gorlickie. W Regietowie tak bardzo leje, że na ponad godzinę dekujemy się w karczmie "*Huculanka*". Młody standard tj. kotlet + fryty. Ja szaleję *War ze zlepieńcami* (rosół z soki z kwaśnej kapusty + pierogi z mięsem) oraz *naleśniki po huculsku* (opiekane naleśniki z farszem na pierogi ruskie). Wszystko pycha. Dalej pada. W tej sytuacji postanawiam zostawić za sobą jeden z głównych powodów, dla których tu jestem cmentarz na Rotundzie. Dzięki temu mam jeszcze jeden powód aby wrócić w te strony.

W Skwirtnem cerkiew, potem Uście. Przy cerkwi spotykamy panią Melanię, nam o jej historii. Rozmowa z tą rodowitą łemkinią jest zajmująca, ale musimy jechać. Obiecujemy, że następnym razem odszukamy ją i wypijemy herbatę w jej towarzystwie. Obieramy kierunek na Nowicę. W drodze oniemiałem z zachwytu - "*jakie piękne zadupie*" - ta myśl będzie prześladować mnie w zasadzie do końca włości.

Oderne. Drewniany kościół jest położony w tak świetnym punkcie widokowym, że spędzamy tam spora chwilę kontemplując widoki.



Mijając wiele pięknie utrzymanych chyży powoli tracimy wysokość. Tak trafiamy do miejscowej cerkwi. Sąsiaduje ona z siedzibą grupy "*Magurycz*". Jest to grupa kamieniarzy, która zajmuje się renowacją nagrobków cmentarnych nie tylko w Polsce, ale również od Gruzji po Bałkany. Robią to zupełnie hobbistycznie i społecznie.

Następnie zakupy i ruszamy. Po drodze podziwiamy kolejne skupisko chyży. Wszystko jednak przyćmiewają fantastyczne widoki. Panorama ponad 180°. Dojeżdżamy do Przysłopu. Jak na razie najładniej położona cerkiew. Cudownie.

Teraz taki wtręt bo bym zapomniał. Udało nam się zwiedzić cerkiew w Kwiatoniu. Udało nam się i to bardzo, bo w poniedziałki i wtorki zamknięte. Pan Hyra - miejscowy opiekun - opowiada zajmująco jej historię. Koniec dygresji.

Z Nowicy jedziemy do schroniska zlokalizowanego w Magurze Małastowskiej, gdzie wcześniej rezerwuję telefonicznie 2 miejsca. Do Magury głównie pchamy. Docieramy na miejsce. Tłok dość spory, a obiekt w przebudowie. Naliczyłem bez nas 13 osób. Jemy kielbę + fasolkę. Do tego napoje izotoniczne. Młody Pepsi, a dla mnie coś w barwach cieplejszych. Gadamy, dopijamy i powoli się zwijamy do spania. Słuchając jak grają na gitarach bawimy się z dwoma młodymi kotami, które dla syna są dodatkową atrakcją. 22:00 pora spać.

DZIEŃ 4 : 2017-08-08 MAGURA MAŁASTOWSKA HUTA POLAŃSKA 58,47 km.

O 4:15 wyszła na szlak jedna z osób, którą był przewodnik PTTK. Ja wstaję o 6:15. Pakowanie, mycie, kawa i herbata. Wyjeżdżamy o 8:15. Szybki zjazd z Magury i podziwiamy kolejny cmentarz z I WŚ. Znajdujemy się na obrzeżach Gładyszowa skąd obieramy leśną ścieżkę za nas szlak. Po ostatnich opadach stanowi to spore wyzwanie. Mamy cały czas w dół dzięki czemu pomimo błocka zalegającego pod kołami dość szybko osiągamy krainę brodów i łąk, które swą nitką otaczają tę dziką i wyludnioną krainę. Zaczyna się w Wołowcu. Mam też szczęście. Przy kapliczce znajduję kapelusz. Bardzo mi się przyda zapowiadają upały 35 - 37 °C. Wynik znalezione - zgubione przegrywamy 2:1. Mój kapelusz w Ptaszkowej i Julka ręcznik na Magurze kontra znalezione nakrycie głowy w Wołowcu.

Piękne miejsce. Czy może być jeszcze lepiej? Pewnie, że tak. Liczne brody prowadzą nas resztkami polnych dróg do Nieznajowej. Tam się krzyżują drogi do Radocyny i Krempnej. My do Radocyny. Jest cudownie. Dawne miejscowości Czarne i Długie oraz zapomniane przydrożne kapliczki i pozostałe po wysiedlonych wsiach cmentarze. No i przyroda przede wszystkim przyroda. Cisza. Pejzaż. Zapach. Poezja dla zmysłów. Pełna magia.



Spotykamy pierwszych rowerzystów. Później kolejnych wszyscy na lekko. My targamy. Docieramy do Radocyny. Tam w bazie namiotowej jemy obiad. Uczynni ludzie w chatce gotują nam wodę, a my pichcimy radomskie wynalazki w proszku. Posileni kręcimy się jeszcze po okolicy. Następnie obieramy z powrotem kierunek na Nieznajową. Znowu brody, chatka, lasy i polne drogi.

Docieramy do obu Świątkowych Małej i Dużej. W jednej cerkiew w remoncie, a w drugiej trwa nabożeństwo. Uzupełniamy kalorie w postaci lodów i ciastek. Kolejno przez Kotań docieramy do Krempnej tam spotykamy pierwszych sakwiarzy ze Słowacji. Oni zatrzymują się na kempingu położonym nad miejscowym zalewem. My po obejrzeniu cerkwi i zrobieniu zakupów kierujemy się do Huty Polańskiej. Wracają wspomnienia ze zlotu. Kotwiczymy. Nie ma żadnej sieci. Od niepamiętnych czasów pierwszy raz w użycie idzie telefon stacjonarny. Młody dzwoni do mamy.

Panuje serdeczna atmosfera. Ledwo podjeżdżamy już nam robią miejsce przy palenisku w wiacie. Pierwsze się jednak rozbijamy. Oprócz nas jeszcze jeden namiot. Bierzemy prysznic i zasiadamy przy ogniu. Gwarzymy do wieczora, który łazikuje w tym miejscu. Zmęczeni zasypiamy.

DZIEŃ 5 : 2017-08-09 HUTA POLAŃSKA JASIEL 64,66 km.

Wstajemy późno. Jest już godzina 7:15, tzn. wstaję ja, bo Julek śpi do 9:00. Suszę namiot i wietrzę śpiwory. Poranna toaleta i kawa. Zbieramy się wyjątkowo długo. Jest 11:00.

Lecimy polnymi drogami na Olchowiec. Tam cerkiew. Mam okazję poćwiczyć mój francuski, gdy przed świątynią spotykamy turystów z tamtego kraju. Ruszamy dalej w kierunku na Smereczne. Spotykamy tam rowerowego turystę, który na lekko eksploruje te tereny. Rozstajemy się w Tylawie, gdzie kończą się jego ciekawe opowieści.



Ładujemy akumulatory jedząc obiad. Naszym kolejnym celem Bałucianka, którą zdobywamy wraz z jej najwyższym wzniesieniem Przymiarkami. Mamy szczęście bo tu już jest świeżutki asfalt, który miejscami również służy nam do jazdy. W większości po prostu pchamy. Trud wynagrodzony. Z Przymiarek piękne widoki. Po prostu fantastyczne.



Odpoczywamy. Czas jechać. Kolejne cerkwie i lody. Bałucianka, Królik Polski (super zjazd), Daliowa i przez Szklary i jesteśmy w Jaśliskach. Zakupy. W tym pyszny, jeszcze ciepły chleb kupiony prosto w piekarni. Jedziemy jeszcze 10 km i Jasiel.

Julek jest zrezygnowany. Ma dość boi się, że będzie spał na dziko. Gdy jednak docieramy do tej starej, zbójnickiej osady okazuje się, że jest tu pole namiotowe. Zwykła polana nad źródłami Jasiołki, kilka wiat i palenisko. Strach został pokonany.

Po drodze - o czym zapomniałem wspomnieć - mijamy wiele opuszczonych PGR-ów. Przez rozlewiska ubrany w strój kamuflujący z wielką lufą obiektywu przedziera się *“podglądacz ptactwa”*.

Dzisiaj był kolejny upalny dzień. Widzieliśmy czaplę siwa i zimorodka. Po wcześniej spotkanym hajstrze to kolejne okazy w naszej kolekcji.

Wieczorem gdy jemy kolację na polanie z 5 metrów od nas pojawia się zając i delektuje się soczystą trawą. Cisza jak makiem zasiał. Patrzymy w ogień. Wciągamy aromaty i zapachy. Czuję ognisko, jedzenie, wilgoć osiadającą na łąkach w postaci mgły. Czuję też potworne zmęczenie i całkowity reset. Jest 22:00 gdy po kąpieli w rzeczce kładziemy się spać.

DZIEŃ 6 : 2017-08-10 JASIEL BALIGRÓD 64,51 km.

Obudziłem się o 6:45. Robię zdjęcia i kawę. Młody dalej śpi. Suszymy nasz majdan. Przygotowuję śniadanie. Budzę go przed 9:00. Pakujemy się i w ciągu godziny jesteśmy na szlaku. Jedziemy piękną drogą na Moszczaniec. Po drodze zauważamy sowę i orła przedniego. Jest majestatyczny. Ogromny. Piękny. Nasz zwierzyniec jest coraz bardziej imponujący.



Dojeżdżamy do Darowa. Młody zaczyna narzekać. Decyduję, że pierwszą część dzisiejszej trasy pociągniemy asfaltami. Zasięgamy info w leśniczówce, gdzie przy okazji uzupełniamy zapasy wody. Zauważam również, że uchwyt Topeak stracił jedno mocowanie. Poprawiam to oraz wymieniam trytytkę w uchwycie Garmina.

Zawracamy do Moszczańca. Totalny brak sklepów. Wreszcie jest. Lody, lody i jeszcze raz lody. Wydaje się, że upał jest niesamowity (to dlatego, że nie wiemy, że po południu będzie jeszcze gorzej). Kierunek Wisłok Wielki, gdzie kilka razy przecinamy rzekę płynącą również przez nasze rodzinne miasto. Rzeka a jakże by inaczej nazywa się Wisłok.

Jesteśmy zmęczeni, ale jedziemy. W gospodarstwie ekologicznym „Przedbieszczady” jemy najlepsze gofry świata. Pyszne, chrupiące z wiśniami w syropie własnej roboty. Próbuję również deskę serów z mleka koziego. Mam nawet pomysł, aby kupić taki jeden wysmienity z bazylią i pomidorami, ale jak to dziadostwo wieć co by się nie popsło w tym upale.

Docieramy do Komańczy. Jedziemy na obiad do schroniska PTTK. Dla młodego kotlet z frytami zaś dla mnie ruskie. Kolejno Rzepedź i kierujemy się na Turzańsk. Piękny kościółek.

Chwilę odsapnęli i dalej. W górę pierwsze asfalt. Później polna droga. Docieramy do granicy lasu. Jedziemy na górę o wdzięcznej nazwie Sulita. Tu zaczynają się największe w trakcie tego wyjazdu trudności. Nie dość, że trwa zrywka to jeszcze wszystko pływa, bo trzy dni temu intensywny opad trwał całą dobę. Dosłownie cała góra płynie. W koleinach woda stoi. Czasami nie ma jak iść, a o jeździe w ogóle nie ma mowy. Przysłowiowe błoto do kostek miejscami jest do kolan. Często, gęsto targam rowery na plecach. Pierwsze jeden potem drugi. Po dotarciu na agro okaże się, że dzisiaj bolą mnie "tylko" plecy.

Tymczasem kończy się las. Wydłubuję błoto garściami. Stokówką zjeżdżamy z góry. U jej podnóża płynie potok. Myję rowery. Młody odpoczywa. Docieramy do Kalnicy. Pytamy o drogę i o wodę. Dostajemy od sympatycznej pani wskazówki i dwie duże butelki cudownie chłodnej mineralnej. Jestem bardzo wdzięczny, bo nasza "zupa" nie nadaje się do picia.

Ruszamy. Przed nami wyrasta Kiełczawa. Młody gdy zobaczył kolejną górkę aż jęknął. Widząc nadjeżdżającego Transportera. Macham (w zasadzie bez nadziei) ręką. O dziwo zatrzymuje się. Bieszczadnicy chętnie pomogą. Mają miejsce dla nas i dla naszego majdanu. Wiozą nas i śmieją się z nas i naszych przygód. Jedziemy z nimi na zakupy. Odwożą nas dodatkowo 7 km na agro. O pieniądzach nie chcą słyszeć. Byłem na to przygotowany. Zostawiam im 2 piwka i moją ogromną wdzięczność. Miejscówkę gdy my jechaliśmy załatwiła nam Asia. Moja ukochana żona jest niezastąpiona również w takich sytuacjach. Bardzo Ci dziękuję.

Kwaterna pięknie położona. Mamy swój pokój. Na korytarzu łazienka. Potrzebujemy jej bardzo. Kąpiel i pranie niezbędne. Gdy młody pławi się w wannie ja robię przepierkę.

Siadam na ławie na zewnątrz. Robię kolację. Słuchamy cykających świerszczy. Pomimo tego, że jest cudownie padam na pysk. 21:15 mnie już nie ma.

DZIEŃ 7 : 2017-08-11 BALIGRÓD POLAŃCZYK 37,11 km.

Na tym wyjeździe jeszcze tak wcześnie nie wstałem. Sprawdzam zegarek jest 5:20. Jestem wyspany, więc schodzę do kuchni zrobić kawę. Po chwili dołącza do mnie starsza pani. Rozmawiamy. Za moment jest nas już troje. Jednak fanatyczna biegaczka jest tak monotematyczna i męcząca, że czym prędzej opuszczam kuchnię. Idę do *“widokowej altany”*. Z kawą w ręku siedzę i patrzę.



Jest cudownie. W okolicy budzi się życie.

Na dzisiaj jesteśmy umówieni z wozem technicznym na odbiór paczki. Wozem technicznym jest kochana żona i mama z młodszym synem. Mają odebrać Julka, który już nie daje rady. Uważam to za rozsądne posunięcie. Tym bardziej, że etap który nas czeka jest jednym z najtrudniejszych. Przeprawa przez Bieszczady i Połoninki Arłamowskie. Zapowiadają też załamanie pogody.

Tymczasem po zjedzeniu śniadania decydujemy się na wycieczkę do Polańczyka. Jedziemy. W Baligrodzie oczywiście czołg i zakupy. Kierunek Stężnica. Zwiedzam zabytkowy kościółek. Ruszamy dalej. W Wołkowyi lody. Orientuję się, że znowu zapomniałem o kapeluszu. Znajduję go przy kościele.

Zaczynają się znowu góry. Po drodze super wodospad w Stężnicy. Do Polańczyka dojeżdżamy przez kilka brodów. Zjeżdżamy. Tam obiecana pizza *“U debeściaków”* Bardzo przyzwoita. Potem plaża. Młody spaceruje, a ja pilnuję dobytku. Jest siódma. Zwijamy się, kupujemy 1 litrowe lody i słuchając koncertu czekamy na rodzinę. Są około 20:00. Zapinam rowery i ruszamy na kwaterę. Fajna miejscówka. Palenisko z grillem, plac zabaw, widokowa altana. Dołączamy do sympatycznej ekipy. Kielbaski, winko, rozmowy. W tzw. *“międzyzycie”* dzieci idą spać. Mija północ zwijamy się i my.

DZIEŃ 8 : 2017-08-12 POLAŃCZYK USTRZYKI DOLNE 15,81 km.

Rano jak zwykle wstaję jako pierwszy. Przygotowuje się do dalszego kontynuowania włości w samotności. Po pierwsze po wieczornych konsultacjach z Michałem (Podjazdy) zmieniam rower. Biorę Wheeler'a, który dysponuje bardziej terenową oponą Smart Sam o szerokości 2,1 cala. Do tego frambag i uprząż oraz worek na bagażnik. Słowem bikepacking dla ubogich :-]. Jestem gotów.

Jemy śniadanie i żegnamy się z gospodarzami. Dowiaduję się, że mieszkali kiedyś w naszej dzielnicy. Rodzina wywozi mnie do Teleśnicy Owszarowej skąd mam kontynuować dalszą jazdę. Wspólna kawa i sprawdzenie prognozy (generalnie kiepska). Później już tylko pożegnanie.

Jadę na Daszówkę, w której odbijam na niebieski szlak. Chcę dostać się na Równię. Początkowo próbowałem coś jechać. Później głównie pcham. Na niebie coraz ciemniej. W powietrzu parowa i wszędobylskie grzmoły. Czas stąd zmykać. Pcham się dalej w górę drogą żłobioną śladami zrywki. Słyszę auta. Do drogi musi być blisko. Coraz bliżej. No i muszę zejść ze szlaku. Z góry zjeżdżają dwie potężne terenówki 4x4. Tarabanię się na grzbiet lepki od potu. Podpycham 20-30 m. Zdycham. Nie ma czym oddychać.



Niebo granatowe. Docieram na grzbiet. Staram się znaleźć zjazd szlakiem do Równi. Przebywanie na górze robi się niebezpieczne. Jedna burza poszła. Za nią już słyszeć następną. W końcu jest jakieś odbicie. Bardzo kiepskie, zarośnięte z głębokimi koleinami. To sprowadzam to staczam się do wioski. Dopadają mnie pierwsze krople deszczu.

Pędzę jeszcze rzucić okiem na zabytkową cerkiew by następnie skuszony reklamą piwa z beczki wylądować w sklepie. Niestety lanej piany brak. Przegryzam jakieś zakupione na miejscu specyfiki przepijane O.K. z Okocimia. Siedzę z godzinę co chwilę spoglądając przez okno. Na poprawę pogody nie ma co liczyć



Ostatni rzut okiem i podejmuję trudną decyzję. Ściągam bawiącą w Polańczyku rodzinę. Umawiamy się w Ustrzykach Dolnych gdzie łapie mnie kolejna burza fundując mi darmowy prysznic. W stolicy Bieszczad zjadam coś ciepłego. Odbiera mnie rodzina, a ja zaś odbieram zapewnienie i obietnicę możliwości dokończenia trasy, któregoś suchego weekend'u w tym roku.

Burzom w tym dniu nie było końca. Jeszcze gorzej ma być jutro. Kurcze szkoda, ale teren, w który miałem się pchać był trudny do zrobienia w takiej pogodzie.

Pora się zbierać. Kupujemy jeszcze koniak i chałwę z kontrabandy i w drogę. Jedziemy przez tereny, którymi i ja miałem się poruszać w jego górnych partiach. Jest pięknie. Na pewno wrócę. Jeszcze kawa u znajomych w Jaworniku Polskim i jesteśmy w domu.

Na ten czas koniec, lecz ciąg dalszy nastąpi ...

c.d.

Epilog czyli roztoczański kompromis.

To, że znajdę się w tym miejscu to było pewne. Pytaniem pozostawało kiedy i jakim czasem będę dysponował. Padło na pierwszy piękny jesienny weekend. Wymagało to jednak z mojej strony pójścia na daleko zakrojony kompromis.

Po pierwsze zamiast w Horyńcu Zdroju znalazłem się Przemyślu. Przez co na teren, który naprawdę mnie interesuje mam tylko pół dnia.

Po drugie pierwszy dzień jazdy to w zasadzie przelot, a nie turystyka.

Po trzecie nocleg. Okrojony czas wymusił na mnie zmianę decyzji. Zamiast spać pod namiotem wybieram agroturystykę w Manasterzu ma to na celu wydłużenie czas jazdy.

W efekcie z kilku miejsc musiałem zrezygnować, jednak to co zobaczyłem to moje. Jest jednak plus tej całej sytuacji. Na pewno tu wrócę, a szczególnie dla kilku miejsc:

- Dziewięcierz <https://fotoroztocze.wordpress.com/2014/11/20/dziewiecierz-cerkwisko/>



- Bar u Rubina w Narolu
- Świątynia Kultu Słońca



- no i trasy wzdłuż samej granicy z Ukrainą z Horyńca Zdroju przez Dziewięcierz i Moczary do Prusi.

DZIEŃ 1 : 2017-09-30 PRZEMYŚL MONASTERZ 133 km.

Miałem być ok. 8:30 w Horyńcu jednak w sobotę nie ma się jak tam dostać komunikacją publiczną. W niedzielę proszę bardzo, no ale co z sobotą. Przecież szkoda tak pięknie zapowiadającego się weekend'u. Decyzja może być w tej sytuacji tylko jedna. Wyruszam do Przemyśla, a stamtąd na kołach na miejsce startu. 4:47 to godzina, o której odjeżdża mój pociąg do grodu nad Sanem. Dwie godziny później witają mnie pierwsze promienie słońca nad rzeką.

Na pierwszy nomen omen ogień idzie Fort San Rideau. Następnie kieruję się do Wyszatyc gdzie planuję przeprowić się promem na drugą stronę rzeki. Rozglądam się przy promie nie ma nikogo, więc grzecznie czekam. Spoglądam od czasu do czasu w kierunku kantorka, w którym siedzi człowiek w końcu wstaje i podchodzi mówiąc :

“ Panie, Pan to chyba byłeś strasznie niegrzeczny, że Cię wygnali w taką pogodę z chałupy i to na rowerze”

Tłumaczę mu, że to raczej na odwrót działa ;-D. Najważniejsze, że jestem na drugiej stronie i jadę w kierunku Starzawy Rybnej. Zahaczam po drodze o Leszno i oglądam pierwsze na tej trasie cerkwie. Za chwilę jestem na terenie Rezerwatu Starzawa skąd leśnymi duktami i polnymi (głównie piaskowymi) drogami docieram do Chotyńca. Chwila dla fotoreportera komórkowego i dalej. Czeką na mnie rzeka Szkło.



Przeprawa z rowerem na drugą stronę to było najbardziej ekstremalne przeżycie podczas tej włóczęgi. Skolioza - jeszcze raz dziękuję. Jeszcze Wielkie Oczy ze swymi atrakcjami (kirkut,

synagoga, cerkiew) i na chwilę mogę znowu zapomnieć o cywilizacji. Jadę do Wólki Żmijowskiej korzystając ze szlaku GV. Poprowadzony jest w większości lasem wykorzystując ścieżki ALP. W momencie gdy robi się statystyczna przewaga nawierzchni asfaltowej zaczyna być nudno. Na szczęście wyjeżdżam z asfaltowo-leśnego tunelu i docieram do wioseczek. Huta Kryształowa i Radruż z pięknymi cerkwiami. Podejmuję decyzję, że jadę ile się da, a śpię na agro. Mijam bokiem Horyniec Zdrój i kieruję się w stronę Werchraty skąd już tylko kilka obrotów korbą dzieli mnie od Monasterza gdzie mam lokum.

Właściciel wypatruje samochodu. Gdy orientuje się, że będzie miał do czynienia z rowerzystą zapewnia mi dodatkowe wygody takie jak garaż dla Zołzy. Wykąpany pochłaniam kolację słuchając *"Lux perpetua"*. Budzę się za 1,5 godziny i wyłączam światło. Świadomość wyłączyła się dużo wcześniej sama.

DZIEŃ 2 : 2017-10-01 MONASTERZ HORYNIEC ZDRÓJ 44,3 km.

Wstaję wcześnie tuż po 6:00. Postanawiam, że dla odmiany od dnia wczorajszego nie będę się spieszył. Wiem gdzie przede wszystkim chcę pobyć, a nie tylko zobaczyć.

Po godzinie już jestem w drodze. Na pierwszy strzał idą atrakcje Monasterza z ruinami klasztoru Bazyliańów, cmentarzem z I WŚ i pustelnią Brata Alberta. Te ruiny polecam każdemu kto lubi takie klimaty.

W drogę czeka na mnie Wielki Dział ze zlokalizowanymi tam stanowiskami obronnymi Linii Mołotowa. Bunkier z pozostałościami lufy robi niezłe wrażenie. Włączę się chwilę w środek i jadę dalej. Dahany, po których sobie tyle obiecywałem. Oczekiwania się nie sprawdziły. Jest po prostu lepiej niż myślałem. Jadę drogą wzdłuż lasu dwa razy tam i z powrotem.



Postanawiam następnym razem tak zaplanować trasę, aby w tym miejscu wypadł nocleg.

Kolejnym punktem programu jest wodospad na Polance Horynieckiej. Powstał w miejscu, w którym kiedyś prosperował miejscowy młyn. Dziś pozostały ruiny fundamentów budynku i urokliwy uskok wodny. Stąd już tylko mgnienie chwili do clue włóczęgi. Teraz pora na cmentarz w Starym Bruśnie. Tam cza stanął w miejscu. przechadzam się niespiesznie, przyglądam. Nawet znajduje moment aby napić się kawy co pozwoli pobyć jeszcze w aurze magii.



Jeszcze tylko Nowe Brusno ze swą cerkwią i pora powrotu zbliża się nieubłaganie. W miejscowym barze z widokiem na park zdrojowy uzupełniam izotonik i już za chwilę siedzę w pociągu do Rzeszowa. Dobrze, że przyszedłem wcześniej, bo obłożenie duże na ten jedyny w dniu dzisiejszym środek publicznej ewakuacji. Szynobus odjeżdża, a ja odpływam w niebyt ...